

Teksty Drugie 1999, 5, s. 181-188



Amerykańska konferencja naukowa środkowoeuropejskim okiem widziana

Katarzyna Kasztenna

Katarzyna KASZTENNA

Amerykańska konferencja naukowa środkowoeuropejskim okiem widziana

Poniższe impresje pokonferencyjne nie mają żadnej wartości dowodowej. Ale „postacie i zdarzenia” nie są fikcyjne, a „wszelkie podobieństwo do osób i zajęć rzeczywistych” nieprzypadkowe. Jasne jest, że wysłuchanie kilkudziesięciu referatów konferencyjnych w jednym ośrodku naukowym nie legitymizuje obserwacji dotyczących egzotyki humanistyki rodzimej i obcej (tu: amerykańskiej). Czy jednak wysłuchanie kilkuset zmienia tę sytuację? Wątpliwe. Więc jakie kwantum „odsluchu” usprawiedliwiłoby przyjemność porównywania w ramach wchodzącej i u nas w modę komparatystyki kulturowej? Niejasne.

Wykorzystując tę chwilę niejasności, pozwólmy sobie na odrobinę arogancji i socjokulturowej komparatystyki w przekonaniu, że nierozległość doświadczenia kompensowana bywa przez ostrość widzenia. Akomodacja oka analitycznego musi przecież wzrastać wraz z częstością obserwacji. Co zatem widzi oko nie zakomodo-
wane?

Zacznijmy od akomodacji w podróży znaczeniu. A zatem najpierw podróż lotnicza i wszystkie jej niewygodny oraz ekscytacje. Potem meandryczne lotnisko, inny klimat, karuzela z bagażami i reklamacja w sprawie zagubionej walizy. Wreszcie, nie bez rozczarowania ceną taksówek, docieramy do znakomitego hotelu (Hilton, Hyatt Regency, Sheraton lub czegoś w tym guście), otrzymując najpierw estetyczną plakietkę z nazwiskiem (naturalnie nieco zniekształconym; no cóż, nie należymy do najczęstszych tu gości). Dostajemy też pakiet konferencyjnych materiałów wraz z zaproszeniami na brunch, lunch, dinner, cocktail oraz folklorystyczne występy – wszystko za dodatkową opłatą. Przeżywszy wstępne rozpoznania, zapoznania i uśmiechy, odpowiedziawszy na sto identycznych pytań: skąd pani przyjechała i czy naprawdę jest tam tak zimno?, w końcu opadamy w miękkiej efektywnie klimatyzowanej sali konferencyjnej, gdzie częsta kawa oraz obserwacja

Przechadzki

„kulturowego zróżnicowania” akademii amerykańskiej utrzymują nas w pożądanej naukowej czujności. Eleganckie marynarki, dobre buty i laserowe wskaźniki w rękach pewnych siebie prelegentów budują atmosferę biznesowego spotkania. Spotkania jednak w celach społecznie akceptowanych jako istotne i godne zbiorowego wysiłku „obsługi konferencyjnej” i hotelowej. Żywo kontrastuje to z uroczym nastrojem biwaku, podtrzymywanym przez grzałki w szklankach, czasem śpiwory i rozmowy do świtu o sprawach wyższych a fundamentalnych w wieloosobowych pokojach w czasie rodzimych konferencji. Wieczorem – bankiet w lokalnym kolorycie, według wzorców wspólnych obu światom. Spontaniczna składka na napoje rozweselające nie jest jednak praktykowana. Ten motyw porzucam jednak. Dla zachowania wysokiego nastroju umiemy (w tym nasza wyższość i cnota) nie przywiązywać wagi do obmierzłego zewnątrz cywilizacyjnej zamożności. Za nami przecież dwa tysiące lat europejskiej cywilizacji.

Okno nasze niechże spocznie na obliczu amerykańskiego literaturoznawstwa. Ponieważ jest to oblicze o nadzwyczaj bogatej wielokulturowej mimice, rozważmy jedynie dwa grymasy istotne dla naszej dyscypliny z metodologicznego punktu widzenia: a zatem najpierw sposób reprezentowania, konstruowania, racjonalizowania i opisywania przedmiotu badań literaturoznawczych, a następnie to, co się z nim dzieje w opisie i interpretacji, a zatem zestaw swoistych ze względu na ten przedmiot metod analitycznego i interpretacyjnego postępowania. W trochę nonszalanckim zarysie. Wydaje się, że są to dobre punkty wyjścia nawet dla nie legitymizowanego i nie autoryzowanego odgórnie przedsięwzięcia komparatystycznego. Otóż...

Co do przedmiotu badań literaturoznawczych skonfundowany centralny Europejczyk ma rozmaite wątpliwości. Przede wszystkim nieobecna niemal wydaje się w wystąpieniach konferencyjnych literatura, ściślej tekst literacki. Drugoplanowo jakby uzupełnia on tylko opowieści o nie kończących się przeżyciach ukazujących rzeźby, malunki, „zdarzenia artystyczne”, „instalacje”, place i ulice po prostu, z ludźmi i bez, kobiety poprawiające sylwetkę („*body building*”), itp. Włączanie i wyłączanie światła oraz dyskretne pomrukiwanie projektora (lub projektorów; komparatystyka wymaga czasem, jak się okazuje, symultanicznej projekcji) stają się niemal rytualnymi i obligatoryjnymi tym samym elementami. Godzinne wystąpienie zaproszonego specjalnie na tę konferencję znakomitego przedstawiciela społeczności naukowej Berkeley pozbawione elementu wizualnego – brzmiało dysonansowo.

Dominacja obrazu w konferencyjnym dyskursie literaturoznawczym musiała być wielorako motywowana. Wiązać ją można z generalną tendencją dydaktyczną pozostawania w ścisłej relacji z „życiem” (o czym w drugiej kolejności) i kształtowania przedmiotu badań także pod tą presją. Ponadto całość wystąpień miała niezrządkiem w opisywanym wypadku charakter ledwie myślowo opracowanego (takie są wrażenia autorki zapewne wadliwie kulturowo wymodelowanej) opowiadania. Ono zaś wymaga obrazowania już nie tylko językowego (co wymaga czasu, ściśle racjonowanego w amerykańskiej Akademii i talentu, racjonowanego w każdej aka-

Kasztenna Amerykańska konferencja naukowa ...

demii), ale i literalnego: malarskiego, filmowego (np. fragmenty kreskówek), fotograficznego. Jedną z referentek wyznała wręcz, że podstawowym jej celem była „gra obrazami” silnie zwaloryzowanymi aksjologicznie. Wydaje się przy tym, że kolaż pozostaje niezwykle popularną techniką łączenia tych obrazów, spychając na margines kontrast, jukstapozycję czy gradację. Kolaż jako technika plastyczna i asocjacja jako procedura mentalna w oprawie retorycznej feminizmu, globalizmu, regionalizmu, wielokulturalizmu itp. tworzyły, w (fałszującym zapewne) uogólnieniu opisywanych zażyć, fundament konferencyjnego dyskursu.

Natrętna i ostentacyjna wizualizacja tego dyskursu wiąże się również, jak sądzę, z charakterystycznym dla amerykańskiego literaturoznawstwa swobodnym balansowaniem pomiędzy różnymi dziedzinami humanistyki i nieautoryzowanym penetrowaniem świata malarstwa, muzyki, filmu, sztuki generalnie oraz – wśród nauk przyrodniczych – psychologii (spauperyzowany Freud wiecznie żywy) i socjologii.

Ostatecznie przedmiot badań krystalizował się nie tyle w obrębie świata literatury czy literackości, ale w strefie magmatycznego, nieokreślonego pogranicza. Przedmiot ten markowały rozmaite kolażowe *images*, pozostawał on jednak ostatecznie nie zdefiniowany i nawet nie opisany. Natomiast najogólniejsze współrzędne obszaru, w którym owo widmo będzie się poruszać, wydają się klarowne: poza akademicką wieżą z kości słoniowej, poza dyskursem terminologicznej i koncepcyjnej niedostępności, w pobliżu „życia” raczej, gdzie komunikujemy się bez pomocy sformalizowanych teorii (co naturalnie nie znaczy: bez teorii). Środkowoeuropejski entuzjasta komparatystyki nie jest zdziwiony: w zestawie pouczeń dla adeptów anglistyki wykreowanych przez scholarów z „Writing Center” odnajdujemy wskazówkę, aby dla celów analizy tekstu dramatu postawić sobie (dramatyczne) pytanie: czy sztuka badana podejmuje współczesne tematy („*modern issues*”), takie jak niewolnictwo, emancypacja kobiet (i pozostałych „mniejszości”), AIDS. Również w konferencyjnych wystąpieniach zasadniczo rozprawiano się z „*modern issues*”. Ci, którym nie udało się ulokować w obszarach ścisłej preferencji, „modernizowali” nieatrakcyjną problematykę, rozważając np. seksualność martwego ciała w średniowiecznej Anglii, zagadnienia ciała w ogóle w rozmaitych konstelacjach czasowych i społeczno-psychologicznych, a zatem pedofilię, homoseksualizm lub ich brak tu i ówdzie, teraz i w przeszłości. W ramach niezwykle popularnego „multi-kulti” oglądowi – dosłownie – poddano rozmaite kulturowe odmienności i podobieństwa, co stanowi nadzwyczajnie nośny temat niezależnie od kompetencji referenta oraz specyfiki przedmiotu badań itd. Działo się to przy tym często w swoistej (nierzadko wyrafinowanej) odpowiedzi na jedno z pytań pomocniczych „Writing Center”: „w jakiej relacji do znanej ci rzeczywistości (*„life as you know it”*) pozostaje tekst literacki?”

Nieokreśloność przedmiotu badań literackich ma, wydaje się, ścisły związek – sprzężenia zwrotnego zapewne – z efemerycznością, tak to prowizorycznie nazwijmy, rezultatów badań literaturoznawczych. Oto jak rzecz postrzegam w perspektywie bandyckiej komparatystyki. Przeciętny rodzimy referat konferencyjny stabili-

Przechadzki

zuje przedmiot dociekań najpierw poprzez umiejscowienie go w solidnie zarysowanej sieci intertekstualnych odniesień, którą rekonstruować możemy z odsyłaczy bibliograficznych w tekście pisanym albo ze wzmianek streszczeniowych w wystąpieniu ustnym, uzupełnianych niekiedy w poreferatowej dyskusji. Intencja tej strategii jest dość oczywista, idzie bowiem o legitymizację obiektu badań jako już rozpoznanego albo też zapoznanego (co tylko potwierdza powyższą zasadę poprzez jej zaprzeczenie), a w każdym razie jako mającego swe miejsce w dyskusie, zasługującego na uwagę i literaturoznawczy wysiłek. W tej trosce o uświadomienie odbiorcy tzw. „stanu badań” kryje się również mocno zakorzonione przekonanie o kumulatywnym charakterze literaturoznawstwa, przekonanie utrzymujące się jako przeświadczenie głębokie pomimo zmian literaturoznawczych paradygmatów, jak również pomimo teoretycznego sprzeciwu ponowoczesności wobec takiego ujęcia kwestii kontynuacji i przyrostu wiedzy w humanistyce. Referent lokujący przedmiot badań w intertekstualnej sieci pozwala widzieć trud własny jako ciąg dalszy wysiłków pokoleń poprzedzających (albo przynajmniej kilku innych entuzjastów). Zarazem także konotuje niejako kodę referatu: spodziewamy się bowiem, że kolejni badacze zechcą zutilizować i nasz trud, a zatem przedstawione ustalenia – choć, jak lubimy to podkreślić, nieostateczne, wstępne, prowizoryczne, przyczynkowe itd. – warte są uwagi słuchaczy. Opisywana strategia ma więc także pewne znaczenie wartościotwórcze, co ważne ze względu na inne przeświadczenie żywo obecne w „naszym” i nie „naszym” literaturoznawstwie; że mianowicie badamy to, co z jakichś oczywistych względów wydaje się ważne, co dysponuje jakąś mniej lub bardziej oczywistą wartością, nie poświęcamy zaś uwagi trzeciorzędnym szczegółom.

Inne wrażenia odnosi obserwator konferencyjnego dyskursu za oceanem. Podkreślmy najpierw odmienną konstrukcję partii inicjalnych wystąpień referatowych. Otóż przedmiot zainteresowania zjawia się jakby poza swoją genealogią, w niarcheologicznej przestrzeni bez głębokości dyskursowej, jako efemeryda jednorazowo odnajdowana lub konstruowana i choć budząca zainteresowanie – istotniejsze tu niż wartość dla „rozwoju nauki o literaturze” – to żywa jedynie w ramach pojedynczego, odosobnionego projektu. Projektu książkowego, dodajmy na marginesie, bo też dosłownie każdy referat anonsovano jako część „większego publikacyjnego przedsięwzięcia”. Znaczyć to może między innymi, że intelektualny wysiłek nie uwieńczony produkcją książki nie wydaje się dość znaczący. Prawdopodobnie pewne znaczenie odgrywa tu po prostu pragmatyka kariery akademickiej, wymagająca permanentnej aktywności wydawniczej dla utrzymania stałej pozycji uniwersyteckiej. Potwierdza to rozpowszechniony obyczaj introdukcji referenta poprzez katalogowanie opublikowanych i przygotowywanych do druku książek, co zastępuje jakiegokolwiek inne „dane biograficzne”, co znowu wspólne obydwu światom.

Częstym zabiegiem retorycznym wspierającym pojawienie się niarcheologicznego przedmiotu badań jest inicjująca – niemal obligatoryjnie zabawna – historyjka z „życia”, która pozostawiając obiekt zainteresowań w niedomówieniu, uczyni

Kasztenna Amerykańska konferencja naukowa ...

go zarazem bliskim, swojskim, już znanym *déjà vu* lub *déjà lu*. Ponieważ historyjka jest zabawna, sprawnie manipulujemy też czynnikiem ludycznym, zyskując uwagę i przychylność publiczności, chętnie gimnastykującej udręczoną przeponę w akcie zdrowego śmiechu. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z generalną tendencją kulturową „opowiadania historii” (Czy to „koniec żaloszny” społeczeństw pozbawionych – na postmodernistyczną modłę – *grand récit?*). Dla nie uprzedzonego obserwatora nawykłego raczej do formułowania sądów, generalizowania lub analizowania, oraz recypowania tego rodzaju wypowiedzi w okolicznościach konferencyjnych, nowym i zaskakującym doświadczeniem jest słuchanie „opowieści” (w klasycznym znaczeniu) z życia lub nie z życia wziętych. Podobnie dzieje się zresztą przy stole w czasie przyjęcia, w telewizyjnym *show*, w kościele i na żeńskim spotkaniu w sprawie polecanego aktualnie masażu. Dodajmy, że tak jak przy stole i w telewizji, opowieści te: a) nie akumulują się w jakiś generalny sens, b) regularnie pobudzają publiczność do wybuchów zdrowego śmiechu lub też spontanicznych okrzyków, c) na poziomie „codziennego” doświadczenia „szarego człowieka” ilustrują profesjonalną wiedzę. Historie te mają kluczowe znaczenie jako retoryczne figury otwarcia wszelkich wystąpień publicznych.

Retoryczne figury zamknięcia wydają mi się nieco odmienne od ojczystych, co stanowi prostą i logiczną konsekwencję różnic w umiejscowieniu oraz rozumieniu istoty literaturoznawstwa, które w amerykańskim kontekście niezręcznie byłoby nazywać nauką o literaturze; nie ze względu na jakość efektów naturalnie, ale z uwagi na „naturalnie” postmodernistyczne przeświadczenia głębokie. Ogólnie rzecz ujmując, powiedzieć trzeba, że intencją „podmiotu konferencyjnego” we wcieleniu środkowoeuropejskim jest, jak już podkreślano, odnalezienie punktu inkorporacji wyników osiągniętych w drodze badań w obszar licencjonowanego literaturoznawstwa. Tworzy to optymistyczną klamrę humanistycznej akumulacji. Jeśli przyjmiemy, że zasadniczo tak mniej więcej konstruujemy kodę konferencyjnego wystąpienia, to świadomość „podmiotu” amerykańskiego jawić się będzie jako skrajnie separatystyczna, indywidualistyczna, aspołeczna (w relacji do społeczności uczonych oczywiście) czy izolacjonistyczna. Referaty, książki, seminaryjne wykłady kreują, odnosi się wrażenie, odrębne światy, których bogowie z oddali przyjaźnie kiwają głowami, zachowując bezpieczny dystans. Akumulację, choćby w jakiejś skromnej postaci, archeologiczne *continuum*, choćby krótkotrwałe i lokalne, trudno sobie doprawdy w tej sytuacji wyobrazić, metodologiczne zaś genealogie (w rodzaju: X, uczeń Y, ze szkoły np. krakowskiej) muszą być jeszcze krótsze niż nasze.

Dyskusja konferencyjna staje się zatem w pewnym sensie wymianą kurtuazyjnych formuł akceptacji, opartej głównie na pozytywnym wartościowaniu zdarzeń i bytów pobudzających zainteresowanie oraz okazją do zadania pytań. Pytań, dodajmy, nierzadko beztrzesko odslaniających ignorancję pytającego na poziomie, na którym nie zwykliśmy „u nas” ignorancji manifestować. Podobnie jak „u nas” zapytanie służy często autoreklamie w czasie cudzej emisji, co ma wiadomy przebieg i jasną motywację. Entuzjastyczna pochwała trącająca szczerością należała nato-

Przechadzki

miast do dyskursowych rzadkości, pełnej oburzenia krytyki nie dane mi było oglądać w ogóle. Dominowała atmosfera uprzejmego zainteresowania bez konsekwencji. Wydawało się, że słuchacze nie zamierzają w najbliższym czasie dyskutować właśnie zreferowanych rezultatów poszukiwań, wniosków, definicji czy *quasi* twierdzeń. Może uczestniczyliśmy więc w retorycznym widowisku z *lunchem* i kolacją?

Jedną z ważnych przyczyn, dla której konferencyjny dyskurs wydawał się pozbawiony napięcia i emocji towarzyszących ulubionej zabawie uczonych w odkrywanie prawdy, było drugoplanowe i nie pogłębione zainteresowanie zagadnieniami metodologicznymi. Obszar ten jest, wydaje się, wygodnym miejscem spotkań dla badaczy z oddalonych obszarów naszej dyscypliny, gdzie możemy dyskutować reżimy pracy nad i z literaturą bez konieczności odnoszenia się do detali, których znać nie możemy. Reżimy te łączą przecież nawet czasem najodleglejsze rejony literaturoznawstwa. Jeśli rozważyć opisywany tu spektakl konferencyjny z perspektywy deklarowanej i zrealizowanej metodologii badań literackich, wnioski okażą się nieco deprymujące dla naiwnego obserwatora ćwiczącego się w optyce. Zaczniemy od tego, że ów „podmiot konferencyjny” oczekuje fajerwerków derridianizmu, lacinizmu, choćby feminizmu steoretyzowanego. Niestety zmuszony jest do konsumpcji wątpliwej atrakcyjności podstawowej semiotyki, obrazu i przestrzeni zwłaszcza, znanej (nawiasem powiedziawszy) z ciekawszych realizacji, na przykład ze szkoły tartuskiej, o których nie wspomniano nawet nawiasowo. Wyznaczenie współrzędnych przestrzeni metodologicznej, dla których poetyka rodzimego referatu przewiduje sporo miejsca, nie troskało nadmiernie występujących. Nawet litanijne wezwanie świętych protoplastów w wysiłkach nie należało do rytualnych elementów. Silne natomiast wydawały się tradycje, nazwijmy to, pragmatyzmu, czyli ujmując rzecz stosowniej – tzw. zdrowego rozsądku, co w literaturoznawstwie można najczęściej identyfikować jako pewne odmiany pozytywistycznych inklinacji. Zainteresowanie autorem i tym, co też miał on na myśli, przeświecało dyskretnie przez analityczny i interpretacyjny dyskurs. Znowu nie mogło to zaskoczyć czytelnika „materiałów pomocniczych” dla studentów, którym doradza się, aby rozważyli następujące pytania w obrębie ogólnie sformułowanego problemu „zamierzenia autorskie” (w oryginalnej postaci popularyzującej: *What is the author attempting to do?*): jaki jest autorski cel, obszar obserwacji, pogląd, stosunek i / lub temat?, czy przeszłość autora (*background*) ma wpływ na analizowany tekst?, jakie idee dotyczące życia (*life*), wolności, społeczeństwa, religii *etc.* wyraża tekst?, czy autor przedstawia własny pogląd w tych sprawach?

Inna kwestia związana z metodologicznym nastawieniem to intensywnie odczuwana skłonność do rozległego wartościowania, stowarzyszona z inną inklinacją, do otwartej (co nie znaczy szczerzej) manifestacji emocji referenta w związku z referowanym zagadnieniem. Wehikułem tej emocji na powrót staje się niewielka narracja, szkicująca historię z życia całkowicie prywatnego lub zawodowego, przy czym szczególnym wzięciem cieszyły się opowiadki z serii, co uważają i o co pytają studenci, albo też jakie były ich reakcje w związku z poruszonym zagadnieniem

Kasztenna Amerykańska konferencja naukowa ...

w czasie zajęć uniwersyteckich. Bliskość nauczycielskiej i naukowej działalności tutejszych akademików dostrzega się nieustannie. W karierze akademickiej jest to nierzadko pierwszoplanowy element, a w życiu prowincjonalnego uniwersytetu z pewnością pierwszoplanowy, zważywszy względy ekonomiczne – ujmijmy to eufemistycznie, mając na myśli czesne oraz uzależnioną od rangi oraz popularności uczelni dotację stanową. Zapewne inaczej trzeba by opisywać najlepsze uczelnie prywatne, ale to nie w nich kształci się dyktująca warunki większość.

Nad rzetelnością aplikacji wybranej metodologii wydaje się dominować tendencja do zaprezentowania wysoko cenionej, wyżej niż wiedza i inteligencja, „kreatywności”. O ile my wstydzimy się „wyważania otwartych drzwi” i poszukujemy raczej autorytetów potwierdzających przeczucia, pozostawiając swobodną „twórczość” najwybitniejszym, tu nie obawiano się ironicznych uwag o odkrywaniu Ameryki. Tendencja do stylizowania akademików na podmioty obdarzone „kreatywnością” oceniana jest przez Allana Blooma jako perwersja antyosiwieceniowa: „nie ma nic bardziej sprzecznego z duchem nauki jak opinia, że naukowiec raczej stwarza (*fabricates*) niż odkrywa rezultaty swoich badań. [...] To artysta, nie naukowiec, stał się admiirowanym typem ludzkim...”¹. Z pewną przesadą powiedzieć można za Bloomem, że w istocie „osobowość” i „kreatywność” wydają się zajmować w realiach amerykańskich, także w akademii, miejsce bardziej eksponowane niż charakter i cnota czy racjonalność i kompetencja.

Niech kodę nie autoryzowanej wprawki z optyki stanowi refleksja dotycząca ciągle żywo dyskutowanych problemów wszechwładnego postmodernizmu. Notatek z nieudanej konferencji amerykańskiej nie godzi się urywać w momencie, w którym rozważamy jedynie pozytywistyczno-semiotyczno-dydaktyczne jej aspekty. Ten obraz nie byłby wiarygodny ani też prawdziwy.

W tym zakątku geograficznym świata, gdzie swego rodzaju konserwatyzm w rozmaitych postaciach idzie w parze ze skrajną atomizacją niektórych sfer rzeczywistości oraz kultem indywidualizmu preradzającego się w zimny egoizm i egocentryzm, gdzie globalizacja dotyczy polityki i pieniędzy, a pojedyncze życie rozgrywa się niemal wyłącznie lokalnie, gdzie w końcu nie trzeba ideologii multikulturalizmu, ażeby doświadczać równoprawnej i nierównoprawnej wielokulturowości – paradygmat postmodernizmu wydaje się adekwatną i „rozsądną” odpowiedzią uogólniającego umysłu na wyzwania czasu i miejsca. To nie teoretyczna ekstrawagancja, ale prosta reakcja na wyzwanie. Odmienne niż w ojczyźnie. Postmodernizm w naszym dyskursie plasuje się raczej wśród opcji oferowanych przez filozofię nauki, w tym obszarze, w którym dyskutujemy pryncypia i szczegółowe programy badawcze, funkcjonalność tych programów, ich koherencję, fundament aksjomatyczny czy „dowodliwość twierdzeń”, żeby nieco hiperbolicznie streścić wysiłki teorii literatury czy też filozofii literatury. Ewentualna immatrykulacja ponowoczesnych metodologii i ich aplikacja ciągle wydaje się przedwczesna. Stąd dominujący dyskurs repetycji z jego charakterystyczną formulicznością, utrwa-

^{1/} A. Bloom *The Closing of the American Mind*, New York 1987, s. 182.

Przechadzki

lającą nowomodne prawdy powtarzane w coraz to nowych sztafażach retorycznych z wyliczeniem obligatoryjnych autorytetów.

W kontekście amerykańskim teksty „fundatorów” i „ojców założycieli” postmodernizmu brzmią jak uzasadnione uogólnienie otaczającego świata, w tym świata literatury i literaturoznawstwa, jak pożądana racjonalizacja chaotycznej mnogości, różnorodności i wielobarwności, racjonalizacja nierzadko nieco zawiślana, trudna, może mglista. Postmodernizm tu się praktykuje, a nie rozważa jako pewną teoretyczną opcję. Tak więc pozytywista, semiotyk, strukturalista czy hermeneuta przystępuje „do zadań” literaturoznawczych bez dłuższych wstępów, praktykując w ten sposób niewiarę w obecność *grand récit*, wspólnego paradygmatu poznawczego, kumulację wiedzy literaturoznawczej. Kiedy słuchamy kolażowych wystąpień z dużym udziałem obrazu, karnawałowego śmiechu i puszek coca-coli w rękach dyskutantów (przesadzam), to powinniśmy pewnie myśleć o *anything goes*, Rortym, przenikaniu się dyskursów, Kuhnzie i liberalizmie. Oto podsumowanie z autorytatywnych ust: „Sądzimy [my pragmatyści – dodaje w tym miejscu Andrzej Szahaj], że poleganie na perswazji, szacunek dla poglądów kolegów, ciekawość, chęć zapoznania się z nowymi danymi i ideami są jedynymi przymiotami cechującymi naukowców. Nie sądzimy natomiast, aby poza tymi przymiotami moralnymi istniała cnota zwana racjonalnością”². Oto obraz, jaki daje pryzmat postmodernistyczny. Nie należy lekceważyć optyki.

^{2/} R. Rorty *Nauka jako solidarność*, tłum. A. Chmielecki, „Literatura na Świecie” 1991 nr 5, s. 209.